

DZIEWIE + NASTKA

Miesięcznik | Nr 143

26 października 2014 r.

przystań

Katedra

Przechodzę przez plac i powoli zbliżam się do Katedry. Jej wielkość onieśmiela. Stojąc tuż pod drzwiami zadzieram głowę i patrzę w górę, na wieżę. I pomyśleć, że jeszcze kilkaset lat temu była to najwyższa budowla świata. Powoli ześlizguję się wzrokiem w dół, chcąc dostrzec jak najwięcej szczegółów, by potem zbudować z nich w głowie jeden, spójny obraz budowli, gdyż niemożliwe jest objęcie jej wzrokiem w całości. Przyglądam się płaskorzeźbom, a w mojej głowie powstają barwne obrazy przedstawiające historie, które obrazują postacie i symbole wykute z kamienia. Średniowieczni mistrzowie dobrze znali się na swoim fachu, ta niezwykła biblia pauperum spełnia swoją rolę po dziś dzień.

Popycham ciężkie drzwi i wchodzę do wnętrza świątyni. Jest przedpołudnie, więc w środku jest jasno. Światło wpadające przez witraże tworzy na posadzce wielobarwne refleksy. Przechodzę na środek świątyni i zafascynowana przyglądam się głównej nawie. Jest naprawdę olbrzymia. Dla porównania: myślę, że krakowski kościół dominikanów jest mniej więcej wielkości jednej z bocznych naw. Powoli idę w kierunku ołtarza. Po obu stronach mijam rzędy prostych, składanych, drewnianych krzeseł. Za nimi znajdują się wąskie kolumny podpierające krzyżowo-żebrowe sklepienie. Jedna z nich, nazwana Anielskim Filarem, ozdobiona jest płaskorzeźbą przedstawiającą anioły w czasie Sądu Ostatecznego. Patrząc w górę, znów wpadam w niemy zachwyt nad kunsztem i finezją średniowiecznych mistrzów. Sklepienie wydaje się sięgać nieba, a charakterystyczna dla gotyku strzelistość oraz wertykalny układ elementów sprawiają, że czuję się nieskończenie mała. Jednocześnie pojawia się refleksja. Ciekawe, jak wielu ludzi zginęło przy budowie tego olbrzyma? Przecież doprowadzenie świątyni do jej obecnego kształtu trwało kilkaset lat! Stwierdzenie, że europejskie świątynie zbudowane są z ludzkich kości, jest tragicznie prawdziwe. Ale to przecież nie miało znaczenia, ile trupów położono w fundamenty tej Katedry – w tamtych czasach wszystko powstawało ad maiorem Dei gloriam. A jednak bezimienni twórcy tej świątyni w pewien sposób „zwyciężyli” – ich pamięć przetrwała stulecia i trwać będzie nadal, tak długo, jak sama Katedra.

Idąc dalej dochodzę do schodów prowadzących do ołtarza i prezbiterium, za którym znajduje się apsyda – znak wpływów romanizmu, jedna z najstarszych części świątyni. Ołtarz znajduje się na dość znacznym podwyższeniu – w końcu kapłan jest „bliżej Boga”, niż prosty lud. W projekcie świątyni nic nie jest przypadkowe, każdy element jest pewnym symbolem, a całość doskonale obrazuje ówczesną strukturę społeczną i sposób myślenia. Katedra staje się teraz żywą, przemawiającą nauczycielką historii. Ołtarz to prosty, kamienny stół, bez ozdób - nie ma nawet białego obrusu. Za nim, trochę z boku, po prawej stronie, znajdują się również proste, kamienne krzesła, przeznaczone dla kapłanów. Jak różne są one od tych, które oglądamy na co dzień w naszych polskich kościołach! U nas wygodą i przepych, złocenia, „szlachetne” czerwone obicia, a tu prostota, surowość, brak zbędnych ozdób. W schodach prowadzących do ołtarza znajdują się dwie pary drzwi, teraz zamkniętych. W głowie pojawia się kolejny obraz. Oto procesja wchodzi przez nie po skończonym nabożeństwie. W świątyni jest ciemno, a jedyne źródła światła to świece niesione przez kapłanów, którzy za chwilę znikną w podziemiach. W tle chór śpiewa *Madre de Deus*. Przejścia, prowadzące pod ołtarz przypominają trochę wejścia do katakumb. Symboliczny powrót do korzeni.

Najbardziej rzucającym się w oczy elementem znajdującym się w apsydzie jest prosty złoty krzyż. Jest on jednym z niewielu złotych elementów, które znajdują się w świątyni. Nad nim znajduje się witraż przedstawiający Matkę Boską z małym Jezusem na kolanach. W końcu jest to Katedra Notre Dame. Nieco powyżej, na sklepieniu apsydy, znajdują się malowidła i mozaiki przedstawiające sceny z Ewangelii, dwunastu apostołów oraz świętych i Ojców Pustyni. Gdy patrzę na wnętrze apsydy, przychodzą mi na myśl najstarsze chrześcijańskie świątynie, te, które możemy oglądać w Bułgarii, Hiszpanii czy północnej Afryce. Żadnych zbędnych ozdób, rozpraszającego i momentami gorszącego przepychu oraz kiczu, który nieestetycznie pojawia się w kościołach zbyt często. Minimalizm formy przy maximum treści.

Znajdujący się w prawej nawie bocznej zegar astronomicz-



ny jest jedynym renesansowym elementem w tej świątyni. Odmierza czas nieprzerwanie od 1574 roku. Ciekawe, czy jego twórcy spodziewali się, że kiedyś wskaże od rok 2014? Z pewnością nie, przecież od tego czasu koniec świata miał nastąpić dobre kilkanaście razy. A jednak świat przetrwał, a zegar wraz z nim, stając się kolejnym, niemym świadkiem historii. Ciekawe, ilu ludzi patrzyło na niego, tak jak ja teraz?

Przechodzę teraz do lewej nawy bocznej i nie zważając na tabliczkę Pas d'entrée wchodzę dalej, kierowana niepoohamowaną ciekawością. Znajduję się zapewne w kaplicy, która rozmianami odpowiada pomieszczeniu, w którym przed chwilą widziałam zegar. Otaczają mnie rzeźby, wykonane z prostego, czerwonego piaskowca, z którego zbudowana jest również cała katedra. Na końcu kaplicy znajduje się wejście do kolejnej, mniejszej. Od miejsca w którym się znajduję jest ona odgradzona tylko szklanymi drzwiami, dzięki czemu widzę, że wewnątrz trwa msza. Starszy ksiądz powoli unosi hostię do góry, a kilkanaście osób, zgromadzonych wewnątrz, przykłada. Kapłan powoli opuszcza hostię i sam przykłada, po czym podnosi się z widocznym trudem. Scena piękna i smutna zarazem. Większość uczestników mszy to, podobnie jak ksiądz, osoby w podeszłym wieku, głównie kobiety. Czy w Polsce również będzie to tak wyglądało za kilka lat? W tym momencie moje rozmyślenia zostają brutalnie przerwane przez zaaferowanego pana ochroniarza, który żywo gestykulując, pokazuje mi, że mam natychmiast opuścić to miejsce. Szkoda. Chętnie popatrzyłabym jeszcze trochę na tę scenę.

Czas wracać do normalnego świata. Wracam na środek świątyni i znowu podziwiam jej piękno, tym razem z nieco innej perspektywy. Przede mną, nad głównym wejściem znajduje się ogromna, wielobarwna rozeta. W mozaikach ułożonych z witraży przeważają motywy kwiatowe, a wpadające z zewnątrz światło słoneczne sprawia, że całość robi naprawdę niesamowite wrażenie. Podążam wzrokiem za promieniami i ponownie ob-

serwuję przedziwny taniec refleksów na kamiennej posadzce. Idę powoli w kierunku wyjścia, chcę jak najdłużej cieszyć oczy pięknem tej budowli. Teraz cały czas obserwuję górną część świątyni. Po prawej stronie dostrzegam organy, które wyglądają jak duży sopel lodu doczepiony do sklepienia i ściany bocznej. Patrząc na nie, mam wrażenie, że zaraz spadną i roztrzaskają się na milion kawałeczków. Są bardzo bogato zdobione, wielokolorowe, zupełnie nie pasują do reszty wystroju. Prawdopodobnie powstały dużo później niż sama katedra, w renesansie, a może nawet w baroku. Ślizgam się wzrokiem po witrażach znajdujących się na wysokości organów. Ale coś mi nie pasuje w tej z pozoru idealnej budowli ... Już wiem, przecież tutaj nie ma chóru! Tylko jedno małe miejsce dla organisty (nawiasem mówiąc, nie mam pojęcia, jak on tam wchodził), a poza tym nic nie zaburza idealnego wertykalnego układu budowli, co jeszcze bardziej potęguje wrażenie, że sięga ona samego nieba.

Teraz już naprawdę czas wracać. Staję obok wyjścia i odwracam się, aby po raz ostatni objąć to miejsce spojrzeniem. Pochylam głowę, robię znak krzyża i wychodzę, do „normalnego” świata. Znowu otacza mnie uliczny zgiełk, śmiech znajomych, rozmowy sklepikarzy i turystów, których pełno na placu. Wróciłam, ale jestem pewna, że Katedra zostanie we mnie na zawsze. I jestem przekonana, że nikt, kto odwiedził to miejsce, nie pozostał obojętny. Warto odwiedzić Strasburg, choćby po to, żeby zobaczyć tę świątynię. Wchodząc do Katedry, nawet zupełnie niereligijny człowiek odczuwa obecność „czegoś większego”. I chyba o to chodziło twórcom, żeby zwrócić naszą uwagę na prosty fakt: w skali Wszechświata jesteśmy tylko małym pyłkiem, a nasze życie trwa mniej niż sekundę. Ale, paradoksalnie, opuszczając Katedrę, nie czuję się przytłoczona. Wręcz przeciwnie, przepełnia mnie dziwna lekkość, która sprawia, że chciałabym oderwać się od ziemi i pofrunąć gdzieś daleko, w nieznane. Na kraniec świata i jeszcze dalej.

Ruth

Upadek

Płynęły ciężkie dni okupacji hitlerowskiej. Zaraz po zachodzie słońca okna musiały być zasłonięte i całe miasto pogrążało się w żalosnej ciemności. Każdego dnia rano, gdy mama Mirosławy zdejmowała czarne zasłony, dziewczyna podbiegała do okien licząc na to, że właśnie dzisiaj ulicą Stradomską przemarszeruje polskie wojsko. Po zmroku nie można było grać na żadnym instrumencie, co złośliwszy Niemiec strzelał w szybę, gdy tylko usłyszał muzykę przez uchylone okno. I tak w szarości, beznadziejny dzień za beznadziejnym dniem.

Mirka zawiązała wstążką swój warkocz. Ubrała buty, skórzaną torbę zarzuciła na ramię, podniosła z podłogi futerał ze

skrzypcami i wyszła z domu. Poranek był wyjątkowo chłodny, na szczęście tramwaj właśnie podjechał na przystanek. Dziewczyna obserwowała ciche Planty, śpiącą jeszcze ulicę Stradomską, skąpaną we mgle, majestatyczną Bazylikę Trójcy Świętej. Gdy tramwaj dojeżdżał do końca ulicy Grodzkiej, Mirka zauważyła niemiecki patrol. Rynek był pusty, tylko przy pomniku Wieszcza stali zaciekawieni krakowianie i kilkunastu żołnierzy z karabinami. Zawsze ciekawa dziewczyna przepchnęła się do wyjścia i wyskoczyła z wagonu. Kolana zatętniły bólem ale ona nie zwracając na to uwagi pobiegła najszybciej jak tylko mogła w stronę zbiegowiska. Żeby cokolwiek zobaczyć, Mirka musiała

podskakiwać. Nagle ktoś złapał ją za rękę i pociągnął w stronę tłumu.

- Puść mnie! - syknęła dziewczyna wyrrywając rękę i pocierając nadgarstek.

- Cicho bądź, to ja... - odpowiedział młody mężczyzna kładąc jej palec na usta.

- Tadek? Co tu robisz?

- Cicho, mówię. Widzisz coś?

- Nie... Podsadziś mnie? - spytała kładąc futerał na bruku, pomiędzy stopami chłopca.

- Czekaj, nie wierć się - powiedział łapiąc ją w pasie i unosząc

Mirka widziała teraz wszystko. Na drabinie opartej o pomnik stał żołnierz podważając statuetkę łomem, raz, drugi, trzeci.

- Oni chcą zniszczyć Mickiewicza!

- Czekaj, niech mi ręce odpoczną. Na chwilę Cię opuszczę. - powiedział chłopak.

- Tadek, podnoś mnie szybko!

Metal zajęczał przeciągle, postać z brązu zachwiała się. Cały Kraków zamilkł, by posłuchać ostatniego sonetu, ostatniej ballady wielkiego poety. Nagle pomnik runął z hukiem na ziemię wzbijając przy tym tumany kurzu. Bezradni mieszkańcy

rozchodzili się, po chwili zostali tylko Mirka i Tadeusz. Dziewczyna nie ukrywała łez.

- Widziałeś? - spytała cicho płacząc.

- Niby co? - odparł chłopak podnosząc futerał z ziemi.

- Tam, w chmurze pyłu... Naprawdę nic nie widziałeś?

- Nic... A co tam właściwie zobaczyłaś?

- Dworek w Nowogrodzku, chatkę pustelnika, Świtez, kaplicę na cmentarzu...

- Raus hier! - krzyknął jeden z żołnierzy przerywając dziewczynie i wymachując ręką - Schnell!

Chłopak złapał Mirkę za rękę i ruszył w stronę ulicy Sławkowskiej. Cały Rynek tonął teraz w gęstej mgle. Idealną ciszę mąciło tupanie ciężkich, żołnierskich butów. Tadek szeptał coś niezrozumiałe.

- Nie słyszę cię, mówże głośniej! - powiedziała jakby z wyrzutem dziewczyna.

- ...*te zamki, połamane w zawałiska bez ładu, zdobyły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!*

- ...dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie, w nich gad mieszka lub człowiek podłejszy od gadu - dokończyła bezbarwnym tonem, jakby mówiła o czymś zupełnie oczywistym.

Ignacy

Mucha

Mucha upadła do mydelniczki. Prosta historia. Latała sobie niefrasobliwie to tu, to tam. Zzzzz. Nagle wlatuje do łazienki. Zzzzz. Odbija się od kaloryfera, pruje w kierunku okna, zawraca, uderza z impetem w lustro - i wpada do mydelniczki. Jest to całkiem sobie zwykła mydelniczka. Plastikowe zagłębienie o kształcie muszeli w kolorze nijakim. W środku, jak to często bywa z mydelniczkami, nabierała się woda. Prosty mechanizm.

Wracamy do domu, w powietrzu unosi się zagadkowa woń obiadu. Więc my - biegiem do łazienki. Przekręcamy kurki, leci woda, mydło w dłoń, szorujemy, płuczemy, chlapiemy, mydło odkładamy - przy okazji mocząc mydelniczkę.

Wszelkieświat nie odnotowałby pewnie tego zagadkowego faktu, gdyby nie ja - dzielnie szczotkujący, jak zwykle o tej porze, zęby. Pochyliam się nad mydelniczką. Mucha próbuje trudnej sztuki pływania. Myślę o tym, jak jej dopomóc w tym frasunku, gdy ona nagle zbulgotała - gzzzzz - i się nie rusza! Mówię żeby się nie wygłupiała, że za nieudzielenie pomocy wsadzą mnie za kratki - a ona nic. Rozglądam się w wielkiej trwodze za jakimś narzędziem ratunku - widzę grzebień. Z jego pomocą wyławiam nieszczęsną, próbuje reanimować, ale jak tu reanimować coś tak malutkiego? Krzyczę, proszę, błagam, a ona nic. Umarła.

- Panie Józefie, niech Pan pomyśli rezolutnie. To tylko mucha, muszka - owad. Koniec jej i tak krótkiego życia nie musi kończyć się załamaniem.

- Ale ja mogłem ją uratować. Gdybym tylko wcześniej...

- Panie Józefie, zrobił Pan co w Pana mocy! No dobrze... Porozmawiajmy może o tym, co działo się potem.

- Nie za bardzo pamiętam. Byłem w takim szoku, że od razu pobiegłem zgłosić się na komendę policji.

- No właśnie, Panie Józefie. Pana bliscy są tym wielce zaniepokojeni. Dlatego przysłali Pana tutaj. Żeby Pan odpoczął i zastanowił się nad tym, co naprawdę jest ważne w Pana życiu.

- W moim życiu ważne jest życie wszelako pojmowane. A ona umarła, a ja nie udzieliłem jej pomocy...

- No dobrze Panie Józefie, na dzisiaj wystarczy.

Przez tę nieszczęsną, niech-spoczywa-w-pokoju - muchę, znalazłem się tu, w zakładzie dla obłąkanych. Nie ma miejsca na tym świecie dla ludzi tak wrażliwych, jak ja. Miałem rację - za nie udzielenie pomocy potrzebującej, niech-spoczywa-w-pokoju muszce wylądowałem za kratkami.

J. Woreczko

Notatki ze „Spotkania”

Wystawa drzeworytów ludowych w Muzeum Etnograficznym w Krakowie

Lubię muzea. Można się w nich schować przed deszczem lub słońcem, zagrzać w czasie mrozu, w wartościowy sposób spędzić nieplanowaną lub zaplanowaną krótką przerwę w edukacji szkolnej (wagary). Muzea są wszędzie; są otwarte od godzin przedpołudniowych do późnego popołudnia lub do wieczora i zazwyczaj można do nich wejść za kilka złotych, a w niektóre dni zupełnie za darmo. W muzeach jest wszystko – i samoloty, i kamienie, i Damy z łasiczkami lub bez. Czasem, na przykład w muzeach sztuk nowoczesnych, nie wiadomo, co jest czym, ale widocznie akurat tam nie ma to znaczenia. Chyba każda dziedzina życia (i śmierci) ma swoje muzeum.

Lubię również drzeworyty – papierowe kartki z odbitym motywem. Niektóre pokolorowane jak dziecięce kolorowanki, inne po prostu czarne na białym tle. Te wszystkie cienkie kreseczki odbite na papierze trzeba było najpierw wyrzeźbić w desce. To chyba niemożliwe!

Na jednym z drzeworytów była jakaś święta kobieta (dawna sztuka ludowa nie zajmowała się nieświętymi). Pod wizerun-

kiem umieszczono podpis, ale w tej chwili go nie widzę (jest zasłonięty plecami innego zwiedzającego studiującego w skupieniu drzeworyt skryty za groszkowanym szkłem oprawy). Spróbuję zatem rozpoznać, kogo widzę. Oczywiście, aureola... Kleszcze? Dobrze, znaczy, że męczennica... ale która? A w kleszczach ząb! Na oko trzonowy, zdrowy ząb z solidnymi korzeniami. Może ósemka. Wszystko jasne i oczywiste – to święta Apolonia, patronka dentystów i tych, którzy mają jakieś problemy z zębami i szczękami. Czyli chyba wszystkich. Brrrr...

Na granatowych ścianach dziesiątki obrazków i obrazów. Jest i św. Mikołaj z wilkami, i św. Jerzy rozprawiający się ze smakiem, św. Florian, św. Stanisław, i św. Wojciech, św. Barbara, św. Antoni, i inni, których nie rozpoznaję, ale których rozpoznam przy następnym spotkaniu, bo znam już zakodowane na obrazach znaki szczególne.

Przebiegam oczami po innych odbitkach. Matka Boska Janowska, Leżajska, Dzikowska, Śnieżna, Różańcowa, Turska... na chwilę moja uwaga przysypia. I nagle Matka Boska Łąkowska stawia mnie do pionu. Łąkowska!, jak pięknie, a jaka Ona piękna. Wokół postaci Matki z Dzieciątkiem mnóstwo wotów, pod Jej stopami księżyc, a płaszcz cały w kwiatach. Jak na łące. A w ogóle, gdzie są Łąki Bratiańskie?

Białe plamy drzeworytów prowadzą mnie dalej. Chodzę sobie od jednego, do drugiego, po kolei, nie po kolei, na ukos, do tyłu, w przód. Wzrok poprowadził mnie do Chrystusa Kobylańskiego. Słyszałam o Kobylance, to koło Gorlic. Swoją drogą, taka wystawa jest jak test geograficzny.

Mała karteczka (14,7 x 10 cm), przed którą stoję, ma już 200 lat. Dwa stulecia to całkiem sporo, jak na małą karteczkę. Ktoś musiał bardzo dbać, żeby przetrwała tyle czasu. Ktoś zobaczył w niej skarb. Drzeworyty pochodzą z kolekcji Józefa Gwalberta Pawlikowskiego (1793-1852), który zbierał różne „starożytności ojczyste” z patriotycznego obowiązku. Po śmierci kolekcjonera zbiory trafiły do Lwowa i tam zastała je II wojna światowa. Dopiero w 2012 r. udało się do nich dotrzeć badaczom z Muzeum Etnograficznego w Krakowie i we współpracy ze stroną ukraińską udało się je przywieźć do Polski, żeby pokazać na wystawie. Już w grudniu wracają na Ukrainę, do swoich teczek w Lwowskiej Narodowej Bibliotece.

Dlatego proszę: nie spóźnij się na „Spotkanie”, bo druga taka szansa może się nie powtórzyć.

Laura Wawrzyniak



Piszę do ciebie...

...nie w wielkich czy wszechmocnych słowach, jak inni, którzy uwielbiają - tak otwarcie, tak głośno na Jego cześć śpiewając. Mój głos nie unosi się ponad inne, bardziej śpiewne, melodyjne, a jednak... jestem, wędruję po wszystkich drogach nieba i ziemi. Posłano mnie do tych, którzy pragną w szczerości serca - do tych, których nadzieja pokładana w tym świecie została złamana. Nadzieja w *Nim* nie gaśnie nigdy. Rozpalam w nich płomień i błyszczą jak gwiazdy; teraz dla świata stali się odlegli, z powodu tego światła - ono nie jest stąd. Widzę wszystkie dni ludzkości - w jednym mgnieniu oka: ich pracę, zwycięstwa, upadki, zranienia, drobne radości, wszelką ich myśl i pragnienie... widzę potęgę, po którą wystarczy, że wyciągną rękę, ku *Niemu*,



a mogłaby przyjść, odnowić, odbudować ruiny, dać nowy początek. W tej potędze - miłość, a w tej miłości - niezmierzona potęga. Myśli o mnie - nieliczne, tak nieliczne! - stawiają mnie na równi z transcendentnym dymem kadzidlany, z najmniejszą częścią całości, tak często odrzucaną, gdy nie daje się pokryć formą ludzkich wyobrażeń. Dla mnie nie ma granic. Jestem, tak bardzo prawdziwy - bardziej realny od rzeczywistości Tobie znanej - Jestem, a jednocześnie *Jesteśmy*. Zawsze JESTEM, gdy pragniesz mnie, gdy serce i duch odczuwają pustkę sięgającą fundamentów ziemi - JESTEM. Gdy świat wokół tonie w ciemności, daj mi rozpaść w Tobie światło niegasnące - nie dosięgnie Cię mrok. JESTEM, BYŁEM i BĘDĘ, w Tobie, a wraz ze mną - życie, prawda, nadzieja, wiara, miłość... nie ma dla mnie granic, a jednak trwam - jako żywa Osoba, posłannik Ojcowskiej miłości do Ciebie, który czytasz mój list.

Pełnia życia, którą On może Ci dać, warta jest wszystkiego. On mówi, On wciąż mówi do Ciebie. Wystarczy prośba, szczerza, prawdziwa, a przyjdzie i zmieni świat wewnątrz Ciebie. Przyjdzie z potęgą, z mocą i miłością. Najprawdziwszy Ojciec. Ja również tam będę i cię poprowadzę; staniesz się nowym stworzeniem, obywatelem Nieba chodzącym po ziemi.

Nie obawiaj się prosić, aby przyszedł.

Zawsze dostępny, zawsze blisko na wyciągnięcie ręki,

Kochający Cię do obłędu,

Duch Święty



Kiedy po raz pierwszy mój przyjaciel wpadł na pomysł aby wybrać się na pielgrzymkę, głośno się roześmiałam - pielgrzymka? Naprawdę? Mamy spać w surowych warunkach, iść 20 km dziennie i klepać różańce bez ustanku? Nie ma mowy.

A jednak 6 sierpnia wybrałam się na XXXIV Pieszą Pielgrzymkę Krakowską na Jasną Górę. Moja grupa była największa - włosko-polska Wspólnota bł. ks. Luigi Giussaniego „Komunia i Wyzwolenie”. 1200 Włochów, 60 Polaków, 20 Hiszpanów, kilku Niemców, Amerykanin. Do przejścia mieliśmy 170 km w sześć dni. Dawniej sądziłam, że to niemożliwe. Ja - wiecznie zmęczona, leniwa, mdlejąca - każdy centymetr drogi przeszłam na własnych nogach.

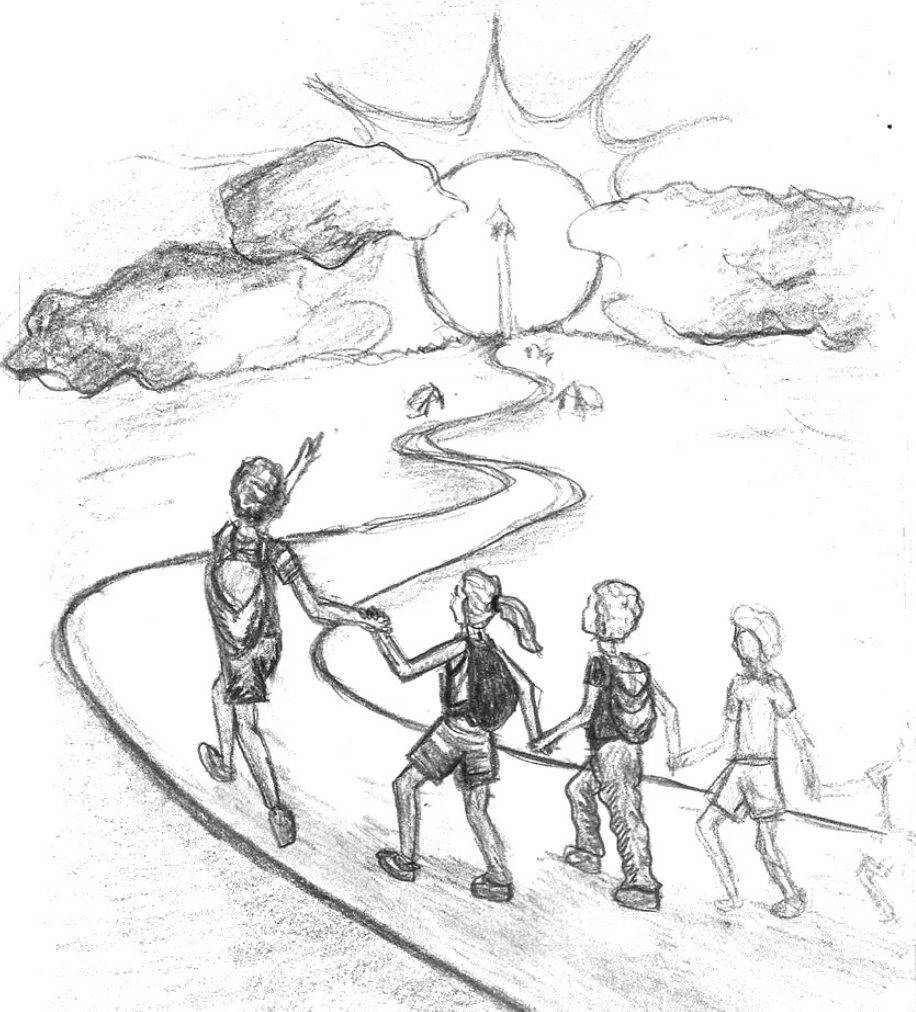
Początek był piękny i zaskakujący. Po Mszy Świętej na Wawelu, którą odprawił kardynał Stanisław Dziwisz, podążyliśmy ulicami Krakowa nieustannie śpiewając radosne, włoskie

piosenki religijne. Jaka siła była w naszych głosach! W niemiłosiernym upale, wychodziliśmy z miasta, wkraczając na wiejskie drogi. Tu zaskoczenie - przed skromnymi domami stały jakby kolorowe stragany. Zawsze narzekamy, że Polacy to złodzieje, marudy, samolubni pesymiści, a tu w niemalże 30-stopniowym upale stoją przy drodze nasi rodacy i rozdają nam marchewki, arbuzy, brzoskwinie, rozlewają do kubeczków domowej kompot. Wtedy po raz pierwszy od dawna poczułam dumę z gościnności współczesnych Polaków (Włosi zapewniali, że u nich to by się nigdy nie zdarzyło!). Jestem z natury osobą otwartą, więc szybko zapoznałam się z kilkoma obcokrajowcami, dyskutując o naszych marzeniach, studiach i planach na przyszłość. Problemy zaczęły się dopiero wieczorem. Namiot dzieliłam z przyjaciółką, bagaż odebrałam z ciężarówki i usiadłam na trawie z myślą „No i co teraz?” Rozglądając się ukoło

wpadałam w coraz większą panikę – wszyscy prócz mnie zdawali się wiedzieć co robić. Mieli przenośne prysznice, palniki gazowe, pojemniki z jedzeniem, zupki. Nieumyta, przerażona i głodna położyłam się spać, zastanawiając się, co mi strzeliło do głowy, żeby wybrać się na pielgrzymkę.

Następnego dnia wszystko się ułożyło. Po porannej Mszy Świętej upadłam na moją dawną przyjaciółkę z Włoch, która mieszkała u mnie rok wcześniej. Obiecała, że mogę liczyć na jej pomoc. Większość dnia szliśmy w leśnej głuszy. Co dziwne, wędrując wśród kojącej ciszy, otoczona majestatem starych drzew, wdychając świeże powietrze i rozmawiając w sercu z Jezusem, poczułam się szczęśliwa. Spokojna, szczęśliwa, spełniona. Mogłoby się здаwać, że każdy dzień pielgrzymki był taki sam – wstawaliśmy przed świtem, żeby szybko się przebrać, spakować i umyć zęby. Potem staraliśmy się nie zasnąć na Mszy Świętej i wysłuchać słów od Pana Boga. Wędrowaliśmy do wieczora, śpiwając, modląc się i robiąc krótkie przerwy na jedzenie. Dla mnie najpiękniejsze było poznawanie nowych ludzi, bo czułam, że z każdym nowo poznanym człowiekiem – przybliżałam się do Jezusa. Przed snem w niewielkiej grupie nieszczęśników bez przenośnych prysznic, pukaliśmy do drzwi każdego domu i prosiłmy o możliwość skorzystania z łazienki i o nieco wrzutu do zupki chińskiej. Nigdy w życiu nie doświadczyłam takiej życzliwości od obcych ludzi. Proste, zwykłe przyjęcie człowieka w potrzebie. W zamian obiecywaliśmy modlitwę, rozmawialiśmy z naszymi gospodarzami. Myślałam, że my też im pomagaliśmy w pewnym sensie wysłuchując ich historii. Mimo pewnej rutyny każdy dzień przynosił niespodzianki – raz do polskiej grupy z Krakowa przyjechał znajomy naszego prowadzącego ks. Piotra Sękowskiego z dwoma wielkimi garnkami ręcznie ulepionych pierogów z borówkami i śliwkami. Innego dnia spotkałam przyjaciela, którego nie widziałam od 5 lat, kiedy indziej do późna graliśmy w „mafię” czy gdy nocą wędrowaliśmy paczką po miasteczku.

Ostatniego dnia wstaliśmy o 3 nad ranem. Muszę przyznać, że był to chyba najtrudniejszy moment w pielgrzymce, prawie zemdlałam wlokąc się półprzytomna w ciemnościach. Co zabawne, zaraz potem nastąpiła najpiękniejsza modlitwa w jakiej brałam udział w całym moim 16 letnim życiu. O godz.



5:30 wszyscy, jak jeden mąż uklękliśmy na kwiecistej łące zwróceniu w stronę słońca śpiwając „Salve Regina”. Jestem prawie pewna, że aniołowie dołączyli się do nas...

Wreszcie Częstochowa! Nie miałam peleryny i mokłam, trzęsąc się z zimna, marząc by wreszcie dojść do końca tej przeklestej alei. Tuż przed wejściem na Jasną Górę udało mi się dotknąć dłoni kardynała. Wtedy jakby zapomniałam o całym bólu, nerwach, niewygodzie, zmęczeniu i jak szalona zaczęłam się samotnie przepychać przed oblicze Matki Bożej. Stałam i patrzyłam na nią chyba przez jedyne 5 sekund, ale to mi wystarczyło. Wyszeptałam: „Oto jestem Mamo. Przyszedłam do Ciebie, abys wstawiła się do Pana Jezusa w mojej intencji. Dziękuję, że Cię mam.”

Czy jeszcze kiedyś wybiorę się na pielgrzymkę? Nie mam pojęcia. Ale jedno wiem – każdy powinien podążać za Jezusem, w ten czy inny sposób, bo to on daje nam szczęście w wieczności.

Pingwin

Historia pewnego spotkania

Każdy człowiek na swojej drodze napotyka ludzi, którzy są dla niego drogowskazem, niedowuznacznym i niezwykle czytelnym znakiem. Wystarczy czasem przypadkowa rozmowa, ulotna chwila. Patrzymy na nich i pytamy: „Skąd ona to ma? Jak on tak może?”

* * *

Jesienny wiatr zwiwał ze mnie resztki gimnazjalnego puchu. Choć na zewnątrz byłem już prawie opierzony, serce nadal czuło się samotnie i bardzo obco.

Z wielkiego zgiełku wskoczyłem po stromych schodkach do akwariowego tramwaju. Otwarłem okno zapraszając do środka wiatr i gwar z zewnątrz. Wszystko było takie nowe, inne. Nieznane. Szukałem czegoś, co w bezładnym chaosie zakurzonych samochodów, szyn, ludzi pędzących, nastroszonych gołębi, reklam, ostrzegawczych dzwonek tramwajów i kabli będzie dawało wytchnienie. Znalazłem. Na rogu chodnika, pod wielogłównym niczym Kolumna Trajana słupem, stała szczupła staruszka w czarnej spódnicy i dającej po oczach czerwonej kamizelce z napisem „CHWŁÓWKI”. Na siwiuteńkie włosy spięte w koczek wciśniętą miała czerwoną czapkę z daszkiem. W chudej dłoni, której kolor był o wiele jaśniejszy od reszty skóry ścisnęła plik ulotek.

Ludzie biegli z tramwaju, do tramwaju, przebiegali na czerwonym świetle. Przez skrzyżowanie przelewały się masy pojazdów wszelkiego rodzaju. Starsza Pani wcale nie była zagubiona w tym wszystkim. Płynnym ruchem podawała ulotki kolejnym przechodniom. A wraz z każdą z nich posyłała im uśmiech.

To właśnie uśmiech sprawił, że na chwilę wszystko inne zniknęło, tramwaje przycupnęły niezdeterminowane, sygnalizacja świetlna nie mogła sobie przypomnieć jakim kolorem zaprowadzić porządek na ulicy.

Uśmiech. To on nadawał całej jej twarzy i sylwetce to piękno, które tak przyciągało wzrok. To był uśmiech Anioła! Uśmiech pełen dobra, który mieścił w sobie tyle... mówił: „Człowieku, jesteś dobry! Świecie, jesteś piękny! Miłość istnieje!” Do tej staruszki wszystkich jakoś ciągnęło.

Oto student, o młodej, a urodziwej twarzy. W jego dłoni jak mak rozkwitła czerwona ulotka, oczy skierował w stronę źródła uśmiechu. Jego twarz promienieje. Przez chwilę niezdeterminowanie zatrzymuje się naprzeciw kobiecie, zapatrzonej, zachwyconej...

Zapaliło się zielone światło. Stęknął tramwaj. Student poszedł. Wszystko ożyło i nabrało tempa. Tramwaj wziął zakręt i chwilę później dudnił na moście powitalną pieśń do Wisły.

Zapatrzonej w czerwoną plamkę na horyzoncie stałem bez ruchu zaciskając dłonie na wytartej poręczu.

Każdego dnia była w tym samym miejscu. Tak samo wszystko wokół burczało i łomotało. Te same czerwone ulotki dzierżyli w dłoniach przechodnie. Było jednak coś, co wciąż się zmieniało - uśmiech starszej pani o siwych włosach. Niby taki sam za każdym wyciągnięciem ręki, a jednak inny, osobisty, dla każdego nowy, świeży.

Jak ona to potrafi?

W tej rutynie i szarej beznadziei?

Strącone zimnym tchnieniem wiatru spadały z drzew pożółkłe liście. Dni stawały się zimne. Jednak przy skrzyżowaniu wciąż można było doświadczyć odrobiny ciepła i znaleźć uśmiech zabłąkany między szarymi murami.

Nadeszła zima, Słońce zniknęło za chmurami, a wraz z nim odeszła siwa staruszka. Od tej pory obraz skrzyżowania stał się niekompletny, jak gdyby czegoś zabrakło.

Po tym spotkaniu dużo myślałem.

Jak to jest? Z czego ta staruszka tak się cieszy? Przecież nie z wyboru stoi na wychudzonych, osiemdziesięcioletnich nogach z tymi beznadziejnymi ulotkami. Więc czemu uśmiech zamiast kwaśnej miny? Co jej pozwala z miłością wykonywać tę niewdzięczną robotę? Bo że była to miłość nie miałem wątpliwości. Radość jej płynęła z głębi, nie była tylko panierką dobrego humoru. Wiem to.

* * *

Poznałem pewnego dnia tę Miłość, która uzdalnia do „podniesienia z miłością igły, która upadła” jak Małą Tereskę. Już wiem, skąd miała uśmiech Starsza Pani od Uśmiechu. A Ty?

Wojtek Badyl

DZIEWIĘTNASTKA

Dominikańskie Duszpasterstwo Młodzieży "Przystań" przy klasztorze OO. Dominikanów w Krakowie

ul. Stolarska 12, 31-043 Kraków | redakcja19@gmail.com | przystan.krakow.dominikanie.pl

Opieka redakcyjna: o. Maciej Chanaka OP | Redaktor naczelny: Martyna Iwanicka

Rysunki: Barbara Wojewodzianka, Maria Kałuża, Weronika Czyżyska | Teksty: Wojciech Badyl, Paulina Olivier, Natalia Stanisławek, Martyna

Iwanicka, Julia Kowalewska, Katarzyna Kuglarz, Maria Masłowiec

Korekta: Magdalena Łopata | Skład: Patrycja Stachelska